

Postacie samotne jak ja

BORYS SZYC | Aktor mówi Małgorzacie Piwowar o pracy nad rolami brata Alberta i Tadeusza Kantora.

✎: Paweł Woldan, reżyser spektaklu, powiedział, że jest szczęśliwy, że to właśnie pan zagra Adama Chmielowskiego, czyli świętego brata Alberta, bo przez swą niepokorność jesteście do siebie podobni. Pan też tak sądzi?

BORYS SZYC: Trudno mi powiedzieć, czy był aż tak niepokorny jak ja (śmiej). Trochę o nim oczywiście czytałem, ale o Adamie Chmielowskim, a nie – świętym Albercie. Bardziej mnie interesowało, jakim był człowiekiem, zanim dokonała się w nim przemiana. Wiadomo, że był duszą towarzystwa. Lubiał żartować, także z siebie. Nie miał jednej nogi – stracił ją w czasie powstania styczniowego. Zachowała się opowieść, jak stał na ulicy i podkładał tę nogę pod jadącą dorożkę, by potem wyludzać z kolegami jakieś finansowe zadośćuczynienie. Lubili się bawić, jak to artystyczna bohema. A wszystko w papierosowym dymie i alkoholowym sosie. Ale zawsze łączyła ich sztuka, była dla nich najważniejsza. W tej grupie przyjacielskiej byli też aktorzy, muzycy. Oni wszyscy trzymali się razem przekonani, że to wszystko, co im się w życiu zdarza, trzeba przekładać na sztukę. Tym bardziej zszokował przyjaciół, oddając swoje życie ubogim i stając się nędzarzem z wyboru. Sam dramat Karola Wojtyły nie daje możliwości pokaza-

nia tego pierwszego oblicza Chmielowskiego, bo zastajemy go już w momencie przemiany. Jego przyjaciele mówią, że coś się z nim dzieje. Ta przemiana jest tak dziwna i tak mocna, że obawiają się o jego zdrowie psychiczne. Zresztą w pewnym momencie wylądował w szpitalu psychiatrycznym z mocnym załamaniem. Więc to natchnienie, czy też może olśnienie, myśl o zmianie życia, musiało być dla niego dużym tąpnięciem. I miało swoją cenę.

Wysoką?

Taką, jaką się płaci za ustalenie nowego porządku i hierarchii. Wbrew przyjaciółom, czasem i wbrew sobie. Bo rezygnacja z życia, jakie prowadził, nie była łatwa. Ale jednak głos wewnętrzny musiał być bardzo silny, dla samego Chmielowskiego zaskakujący. Początkowo chyba nie potrafił sobie z tym poradzić, ale jednak kompletnie zmienił swoje życie.

Rozumie go pan?

Staram się. Fascynuje mnie, że coś takiego może się człowiekowi przydarzyć. I ciekawi mnie od strony psychologicznej, jak środkami aktorskimi uprawdopodobnić, że naprawdę temu człowiekowi to się przydarzyło.

Biografia mówi, że był to moment możliwy do uchwycenia – malował wtedy obraz



♦ **Borys Szyc** (Adam Chmielowski) w „Bracie naszego Boga”. Premiera 27 listopada, TVP 1, godz. 20.25

SPEKTAKL WYMAGAJĄCY SKUPIENIA

„Brat naszego Boga”, czyli historia malarza Adama Chmielowskiego, który przeobraził się w brata Alberta zostając świętym, napisana przez Karola Wojtyłę w latach 1944-50, na teatralną realizację czekała do roku 1980. I nic w tym dziwnego, bo ten niezbyt często wystawiany dramat, jest dla reżyserów wyzwaniem. Obfitujący w medytacyjno-filozoficzne dialogi i monologi tekst nie zachęca inscenizatorów. Wyreżyserowany przez Pawła Woldana spektakl jest pierwszym zrealizowanym dla Teatru

Telewizji i tu – należy dodać – także z wieloma poprawkami pozwalającymi lepiej przemówić do widza nienawykłego dziś do trudnych komunikatów, wymagających wnikliwego współuczestniczenia. Reżyser wzbogacił inscenizację retrospektywnymi scenami z udziałem artystów, którzy zetknęli się z Chmielowskim m.in. Modrzejewską, Wyczółkowskim, Gierymskim, Witkiewiczem. Poetyckim, ale i dyscyplinującym widowisko walorem jest oświecenie i przemyślane, skupione zdjęcia Zdzisława Najdy. ©© —mp

„Ecce homo”. Miał 34 lata. A nie malował do tej pory obrazów o tematyce sakralnej.

Różne są przekazy, czy przydarzyło mu się to w trakcie malowania, czy coś spowodowało, że zaczął malować ten obraz. Może punktem zwrotnym była wizyta w kotłowni, w której mieszkali ubodzy, albo zetknięcie się z nimi na ulicy? Może wtedy coś się w nim poruszyło? Ale to musiało w nim być już wcześniej. Na pewno. I to tak silne, że mógł się temu tylko poddać.

„Brat naszego Boga” to hagiografia?

Nie, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – to nie jest wybitny dramat. Od strony literackiej widać wielki zachwyt i hold, jaki Karol Wojtyła chciał oddać osobie, która dla niego – jak pisał – była drogowską. To niewygodna pozycja do pisania. Staraliśmy się w inscenizacji nie opowiadać od razu o osobie świętej, ale pokazać głęboki filozoficzno-duchowy dylemat, który przydarzył się człowiekowi, powodujący przewartościowanie całego dotychczasowego

życia. Najciekawszą osią dramaturgiczną jest postać Nieznajomego, który prowadzi cały czas Chmielowskiego, by w życiu kierował się gniewem, a nie miłosierdziem. Ten odpowiada: „kto z nami nie żyje, ten nie wie, co to znaczy”. Rozumiał, że musi żyć jak ubodzy, by zrozumieć ich życie. Pragnął, by nędza zaczęła się im wydawać czymś wartościowym.

Mówi pan o tym wszystkim ze sceptycyzmem...

Raczej z pozycji aktora, który ma 39 lat, żyje, jak żyje,

i do tego we współczesnym świecie. Patrzę na to z boku. W czasie realizacji starałem się odciąć wszystkie zewnętrzne bodźce, spróbować znaleźć w sobie rodzaj spokoju i skupienia, który – wydaje mi się – towarzyszył Chmielowskiemu w momencie, gdy sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Jedyne ważne pytanie, jakie miałem do reżysera, brzmiało: czy po podjęciu decyzji Adam Chmielowski zaznał spokoju? Doszliśmy do wniosku, że właściwie nie. Że poszukiwanie towarzyszyło mu do końca życia.

Kim jest teraz dla pana Adama Chmielowski brat Albert, gdy już go pan zagrał?

Bardzo samotną, a z drugiej strony bardzo odważną osobą, która zdecydowała się iść swoją drogą życiową. To jest bardzo trudne nie poddać się naciskom. Kimś, kto doświadczył czegoś, co mi się jeszcze nie przydarzyło – olśnienia, bliskości duchowej z Bogiem. Co nie znaczy, że od razu chciałbym zostać bratem Albertem.

Ostatnio zagrał pan jeszcze jednego, równie wyrazistego bohatera – Tadeusza Kantora. I chyba równie mocno wymagającego. Zostawił coś w panu?

Mnóstwo. I ciągle we mnie tkwi, bo wciąż jeszcze nie ukończyliśmy zdjęć. Wiąże się to dla mnie z gigantycznym wysiłkiem psychicznym i fizycznym – ponownie będę musiał stracić 15 kilogramów. Od dziecka uwielbiałem Kantora i było to dla mnie mistyczne przeżycie, że mogłem go zagrać. W moim domu był szczególną postacią, tym bardziej że oboje rodzice są absolwentami krakowskiej ASP. Zarówno Chmielowski, jak i Kantor to ludzie osobni. Obu im towarzyszyła samotność. Takie postaci są mi bliskie. Ja też odczuwam samotność we wszechświecie. Mimo że jestem – jak my wszyscy – otoczony tysiącem ludzi. I pewnie dlatego łatwiej mi się z takimi postaciami, jak te, o których rozmawialiśmy, utożsamiać. ©©



Więcej zdjęć ze spektaklu „Brat naszego Boga”

rp.pl/kultura